



5415

P Z A.

Historya z przed stu laty.

Przez

Adama Bełcikowskiego.

Pan Bartłomiej Ślepowron Rokicki siedział jak niedźwiedz w mateczniku, jak dzik w ostepie, w dziedzicznej swojej, lesistej wsi, o parę mil od Warszawy. On nie zawitał po nic, przy żadnej okazji do nikogo, i jego także omijali sąsiedzi, omijały wózki kwestarskie, choć w piwnicy miał wino, jakiego nie wszędzie znaleźć, a w stodołach pełno ciężko-ziarnistego zboża.

Pochmurno pan Bartłomiej na świat spoglądał i źle mu z oczu patrzyło. Surowym i gniewnym był panem dla swoich domowników, a gdy wpadł w pasję, nie znał co miłosierdzie i granica. Żona i córka jedynaczka (więcej dzieci i syna żadnego nie miał) chodziły koło niego na palcach i drżały przed nim, jak osiki. Bez przestanku fukał na nie i lżył je ostatnimi słowy o najmniejszą drobnostkę, bez przyczyny często, a gdy się rozzłościł, to kańczugiem walił gdzie się trafi, lub chwycił jęczącą niewiastę za warkocze i włóczył po sadzie lub dziedzińcu.



Ten kańczug nosił on ciągle za pasem, a drugi, jeszcze potężniejszy, wisiał u niego nad łóżkiem. Cała jedna ściana sypialni zawieszona była nożami myśliwskimi, jataganami i zawsze nabitemi pistoletami i strzelbami. Pan Bartłomiej bał się zawsze najścia, bo wiedział, że go ludzie nie lubią i tą gotową bronią siał postrach, by się uchronić od zemsty i odwetu za krzywdy, które wyrządzał. Nie raz wśród białego dnia, gdy w jego dworze i po wsi roіło się od pracujących i przechodzących ludzi, nagle huk wystrzału z jego okna się rozległ, bo pan Bartłomiej zobaczył, że jakiś chłopak zagarnął mu gałęź wiśni nad jego płotem i choć loftkami dał mu bolesną za to pamiątkę. Nieraz w nocy ten lub ów nagle się zerwał z posłania, bo pan Bartłomiej w tej chwili wypalił w swoim ogrodzeniu na znak, że czuwa i gotów kula poczęstować każdego, kto by przelazł przez jego płot lub podkopał się pod lamus.

Biada sługom i poddanym, którzyby ściagnęli jego niezadowolenie, lub gniew na siebie. Karał bez litości, jak tyran i kat; karał z tem przeświadczeniem, że ma do tego prawo, że ci, co mu są podlegli, są istotami innemi niż on, które na inne obejście nie zasługują i z którymi w inny sposób do końca by dojść nie można. Kazał bić różgi i kije, morzył głodem i trzymał w lochu, gdzie w czasie zimy mróz doskwierał do kości, a w lecie woda lała się po ścianach. Ten loch z grubemi, mocno okutemi drzwiami, z małym, gęsto okratowanym otworem, znajdował się tuż pod jego sypialnią. Tych przestępców, których tam trzymał, pan Bartłomiej chciał mieć jak najbliżej siebie, chciał ich sam strzedz, by żaden przed

końcem kary nie uszedł, a w swoim uwięzieniu nie doznał żadnej ulgi.

Ludzie mówili, że miał grube pieniądze, że w piwnicy u niego stały worki ze srebrem i złotem. Nikt ich nigdy nie widział, ale powszechna była w to wiara. Bo gdzieżby się u pana Bartłomieja podziwowały pieniądze? Dochody miał znaczne, jak na zwyczajnego szlacheca bardzo duże / a ani sam tego użył, ani drugiemu nie nie dał. Nie było u niego nigdy sutych świąt, ani imienin, sąsiada w potrzebie nigdy nie wspomógł, biednej wdowie nie nie użyczył, żebraka nawet od wrót psami szczuć kazał, a jednego grosza, któryby mu się od kogo należał, nie darował.

Dla kogo on te pieniądze zbierał? niewiadomo. Nawet dla córki nie, bo pomimo że to była panna już pełnoletnia i dobrze rozrośnięta, nie wychodziła dotąd za mąż, może i dla tej także przyczyny, że pan Bartłomiej głośno się z tem odzywał, że do córki dopłacać nie myśli i że kto ją chce wziąć, niech bierze, jak ją Pan Bóg stworzył. On młodym na zbytki i fanaberye ze swojej ciężkiej pracy dodawać nie myśli i ani szeląga z garści nie wypuści.

Prawdopodobnie nie myślał on nigdy o tem, na co mu te pieniądze i co się z nimi później stanie. Chciał je mieć wszystkie w rękę, chciał ich mieć jak najwięcej, bo wierzył, że złoto to Bóg świata, że kto je ma, tego szanują i boją się, że z niem można nie dbać na nikogo i na nic, a śmiać się ze wszystkich.

Co go zresztą cały świat obchodził! Czy go ludzie kochają, czy nienawidzą, wszystko mu jedno. Czy jego bliźnim, rodakom, współzemiańcom dobrze czy źle się dzieje, to mu tak obojętne, jak to, co na księżycu sły-chać. On siebie miał tylko na celu i siebie kochał, nie

czuł żadnych więzów i łączności z resztą świata. To wszystko, co ludzie gadają o miłości bliźniego, o patriotyzmie, o poświęceniu, to czcze sentymenta i obłudna szkaradna. *Homo homini lupus*, to jest najszczerza prawda, prawdziwsza niż ewangelia. Cała sztuka życia w tem, żeby mieć ostre zęby i pazury; nie dać się i w strachu przed sobą trzymać drugich. Czuł się też zadowolonym i szczęśliwym, że natura i los tak dobrze go uzbroiły na tę walkę: urodził się szlachcicem, to jest człowiekiem, co oprócz Boga nie zna pana nad sobą; miał pełny zawsze trzos, a był zdrów jak ryba i silny, tak, że mógł podkowy łamać i koła w biegu hamować.

Drwił sobie tedy ze świata, wyższych nad siebie nie widział, a niższych nie miał za stworzenia boże, deptał i uciemniał ile mógł.

Z dworu swojego, który więcej wyglądał na warownię niż na wiejską siedzibę ziemianina, bo otaczały go i rowy i ostrokoły i wysokie parkany z grubych pniów dębowych, a sam budynek stał niby wielka, szeroko na dziedzińcu rozsiadła baszta, rzadko się pan Bartłomiej za granicę swych włości wychylał. Z nikim nie żył w przyjaźni, sąsiedzkich stosunków nie utrzymywał, od wszelkich urzędów i obowiązków obywatelskich się usuwał, to i nie było po co i do kogo wyjeżdżać. Mimo to, że się z ludźmi prawie nie stykał — sto lat temu właśnie, tak wielkie rzeczy działy się w Polsce, tak różnemi nowinami i wieściami brzmiało codziennie powietrze po całej ziemi polskiej, że i do pana Bartłomieja echa tych wieści, niby szmaty, rzucane czyjąś ręką na wole wiatru, musiały choć czasem dobiegać.

Tam w stolicy, parę mil tylko od niego, już rok

czwarty skonfederowane stany Rzeczypospolitej radziły nad tem, jak upadłą ojczyznę podźwignąć i w osłabłe jej ciało wlać świeże soki żywota i przyszłości. Cały kraj rozbudzony nadzieją, czując ważność chwili, słuchał ciekawie, jakie się tam rodzą projekta, jakie przedsięwiorą zmiany, jakie tworzą alianse. Było pełno i radości i dąsów a gniewów, ścierały się ze sobą opinie, wybuchały stronnnicze namiętności zarówno jak i szlachetne uniesienia serca. Jednem słowem było w Polsce jak w ulu rojno i gwarno, rozbrzmiewały ciągle na różne tony słowa: Sejm wielki, Konstytucya, sukcesya tronu, aukcya wojska i t. p. i t. p.

Pan Bartłomiej nie był ciekawy wszystkich tych nowin. Całość Rzeczypospolitej, dobro ojczyzny i pomyślność ziomków, były to rzeczy, o których on nigdy nie pomyślał. Ale choć tak się samolubstwem i obojętnością opancerzył, wieści nie proszone i nie pożądane przylatywały jednak do niego, sam nie wiedział jak i skąd. Gotów był wierzyć, że to przelatujące ptaki mu je przynosiły, że to szum boru od drzewa do drzewa je podawał.

Przylatywały wieści i niestworzone opowiadały mu rzeczy.

Pan Bartłomiej słuchał ich obojętnie i pogardliwie, jako wiadomości o czemś, co było złe i bezbożne, choć gdy potem o tem rozmyślał, na dnie duszy wrzało mu i kipiało z oburzenia i gniewu.

Gdy słyszał, że naród chce znieść elekcję, a tron dziedziczny ustanowić, to mówił:

„Despotyzm i tyranję chcą zaprowadzić!“

Gdy słyszał o zniesieniu *liberum veto*, to rzekł:

„Żrenicę wolności nam wydzierają!“

Gdy słyszał, że mieszczenie prawa obywatelskiego mają otrzymać, to rzekł:

„Waryaty! Łyk ów chcą robić szlachtą!“

Gdy słyszał, że chłopów prawo ma wziąć pod swą opiekę, to rzekł:

„Chamy teraz szlachtę do pługa zamiast wołów wprzegać będą!“

Gdy słyszał, że naród gotów ostatnie siły zebrać w obronie swoich granic i wolności, że uchwalają podniesienie liczby wojska, że ze wszech stron słyhać głosy, wzywające do spełnienia obowiązków obywatelskich i poświęcenia dla całości Rzeczypospolitej, machał drwiąco ręką:

„Na nic to wszystko! Ot, porwał się z motyką na słońce!“

I tak wszystko a wszystko, co do uszu jego w tych czasach doszło, spotykało u niego niechęć, odrazę i poćpienie.

Zresztą, konkludował sam w sobie: „niech sobie tam robia, co im się żywnie podoba! Sami będą pili to piwo, którego nawarzą i poparzą sobie sami ręce tym ogniem, który wznecają. On od swych przekonań i opinii nie ustąpi ani na cal; on jednego grosza na nic im nie da; on będzie panem samowładnym na swej ziemi jak przedtem, choćby dziesięciu Likurgów nowe prawa spisał; on nie pójdzie na dno, gdy drudzy z własnej winy potoną.

Wszystko to głupstwo, którem zajmować się nie warto. Niech sobie tem zaprzają głowę próżniaki i szalawicy, co nie mają nic do stracenia. Dla pana Bartłomieja daleko ważniejszą sprawą jest proces o sąsiednią

wieś, który już tak długo się wlecze, tak go niecierpliwi i tyle go kosztuje zdrowia.

Bodaj przepadł ten szelma bratanek, który mu się za wszystko dobre tak czarną niewdzięcznością odplacił! tyle lat, od małego dziecka, pan Bartłomiej trzymał go na swoim chlebie i sumpcie, karmił, odziewał, do szkół do miasta posyłał, nauczycieli opłacał, potem pieniądze na dzierżawy i długie dawał, a ten niecnota jeszcze rości sobie pretensye do wsi, co niegdyś po jego ojcu, a rodzonym bracie panu Bartłomieja pozostała. Wieś pozostała — to prawda, ale obdłużona na wszystkie boki, zaniedbana i opuszczona przez długie lata, kiedy śp. Ksawerowi podobało się z Barskimi konfederatami po kraju awanturować, potem za granicą tułać a wreszcie gdzieś w świecie bez wieści zginąć. Nie licząc wydatków na bratanka, ile to swego własnego grosza pan Bartłomiej w tę wieś włożył! Przecież wyrachował się ze swej opieki co do szeląga, procentów żadnych nie żądał, a pokazało się, że on już dawno daleko więcej ze swych pieniędzy dał, aniżeli wieś była warta. /c

A teraz ten niecnota bratanek, chłop już pod wąsem, nie mając co w ręk włożyć, jego się uczepił i prawowita jego własność chce mu wydrzeć. Ha! nie byłoby może do tego przyszło, sumienie nie byłoby mu pozwoliło rzucić się jak świętokradca na osobę stryja, gdyby nie ludzkie podmowy i intrygi. Byli tacy nawet między najbliższymi sąsiadami, co młodego człowieka popchnęli na tę złą drogę, co go otumanili, mówiąc, że jako żywo stryjowi z tej wsi nie się należy i że intraty dziesięciokrotnie pokrywały koszta edukacji i wychowania bratanka. Ale to fałsz, to złość i zazdrość ludzka i pan /w TS

Bartłomiej kochanego bratanka z torbami wyszle, a na swoim postawi.

Proces ciągnął się długo, bo pan Bartłomiej umiał coraz nowe wynajdywać kruczki i smarował, smarował ciągle, ilekroć sprawa na jego niekorzyść obracać się miała. Teraz oto niedawno udało mu się przenieść ją ze sądów ziemskich do assessorskich w Warszawie, gdzie się spodziewał, że rzeczy lepiej pójdą podług jego myśli, bo do assessorów zadwornych łatwiej mu będzie trafić niżli do sędziów, z braci szlachty wybieranych. Nie małą także nadzieję pokładał w protekcyi pana Antoniego Złotnickiego, posła podolskiego, który teraz na Sejmie w Warszawie siedział. Poznali się obaj przed półtora rokiem w Warszawie, ale tak sobie do smaku przypadli, że się od razu stali dobrymi przyjaciółmi, jakby już beczkę soli ze sobą zjedli. Pan Złotnicki na bardzo przyjacielskiej stopie był z rezydentem rosyjskim w Warszawie, a że rezydent, choć patryoci na niego hukali i król w ostatnich czasach niby się od niego usuwał, potężnym był w stolicy, więc pan Bartłomiej z tej strony spodziewał się dla swojego procesu podpory.

Nowy termin w tym procesie dostał pan Bartłomiej na dzień 4 maja. W wigilię tego dnia zatem, zjadłszy jak zwykle o południu, wybrał się do stolicy bryczką w dwa dzielne kasztany zaprzęgniętą. Nad wieczorem miał stanąć w Warszawie, tam wygodnie przez noc sobie wypocząć, na drugi dzień odwiedzić naprzód pana Złotnickiego, interes mu swój polecić, o protekcyę u Bułharkowa prosić, a potem w sądzie się stawić.

Jakoż pogodne słońce ostatnie już różowe promienie na zachodzie rozpościerało, kiedy pan Bartłomiej przez

Leszno do Warszawy wyjeżdżał. W zajeździe u rudego Szmula bryczkę i człowieka zostawił, a sam piechotą szedł dalej na Piwną ulicę, aby w austeryi Czyżowskiego, gdzie i stancye były porządne i wikt smaczny, na nocleg się zakwaterować. 18

Już kiedy z Senatorskiej ulicy zdążał ku Podwałowi, doleciał go jakiś głuchy huk, jakby spadającej na koła młyńskie wody. Ale trochę sfatygowany kilkugodzinną jazdą na bryczce, trochę zamyślony o jutrzejszych interesach, pan Bartłomiej nie zważał na to. Zresztą hałas w wielkiem mieście nic dziwnego, a zwłaszcza wtenczas w Warszawie, gdzie wrzało zdwojone życie z powodu odprawiającego się w tak nadzwyczajnych warunkach sejm.

Ale zaledwie wysunął się na róg Senatorskiej ulicy, niezwykle widok uderzył jego oczy.

Od zamku, jak szeroko rozlana rzeka walił się gęsty, zbity tłum ludzi, wydający się przy zapadającym zmierzchu jak szara jednolita masa lawy. Tylko gdzieniegdzie nad powierzchnią podnosiły się niby maszty na okręcie, sztandary na wysokich drzewcach owinięte i lekkim podmuchem wiatru miotane. Dalej zaś w głębi zapadającą ciemność rozświecało kilka nisko w tłumie płonących pochodni. Liczba tych świateł rosła szybko przed oczyma pana Bartłomieja. Coraz więcej w tej ciemnej massie robiło się świecących punktów, aż wreszcie luna pochodni i najbliższe twarze oświecać poczęły. 1a

Głuchy stukot kroków, uderzających o bruk, tętnił, jakby kto miny podziemne kopał, ale coraz bardziej przysłuszały go głosy z tysięcy piersi się odzywające.

„Niech żyje król! niech żyje konstytucya!“ unosił się co chwila z ponad tłumy okrzyk, niby salwy ar-

mątnie z różnych stron na przemian sobie odpowiadające.

Cały ten tłum, przyspieszonym krokiem zdążający, skręcał ku farnemu kościołowi świętego Jana.

Pan Bartłomiej szedł naprzeciw niego, już nietylko dlatego, że mu tak droga wypadła, ale i ciekawością gnany, zwłaszcza, że przy świetle pochodni w tej czarnej massie zamigotały mu także i złote hafty dygnitarzy dworskich i brylantowe spinki u kontuszów.

10
Nie mógł się domyśleć, coby to zbiegowisko i ta niby procesya znaczyć miały, tak jak i dla wszystkich prawie w Warszawie to, co się dzisiaj działo, prawdziwą było niespodzianką. Patryoci, aby nielicznej, ale krzykliwej i zawziętej opozycji nie pozwolić bruździć i dobrego dzieła może unicestwić, w wielkiej tajemnicy prowadzili swoje roboty i kiedy przeciwnicy myśleli, że im daleko jeszcze do końca, oni dzisiaj, 3 maja, niespodzianie nową ustawę rządową przed stany sejmujące wnieśli. Sejm tę ustawę przyjął z wielkiem uniesieniem wszystkich ludzi dobrej woli, wśród rozczulenia i oznak najwyższej radości ze strony arbitrów, a teraz z sali sejmowej na Zamku szli wszyscy z królem na czele, biorąc za sobą coraz więcej zbiegającego się z miasta narodu, do kościoła farnego zaprzysiądz uroczystie konstytucyę i podziękować Bogu, że dozwolił szczęśliwie dokonać tego zbawiennego dla ojczyzny dzieła.

Tylko nieliczna garstka posłów, wszystkiego dwunastu na liczbę, ludzi, co albo zaprzędali swoje dusze i sumienie, albo z przestarzałych przesądów otrząść się nie zdołali i przy swym nierozumie trwać chcieli, oderwała się od tego tłumu, mieszczącego w sobie co kraj miał

najlepszego i gdy reszta dążyła ku kościołowi, oni ku Senatorskiej zamierzali ulicy. Szli z nasrożonemi minami, jeden i drugi karabelą ognia ze złości skrzesywał po bruku, inni znów posepnie i groźnie w ziemię patrzyli.

Na czele szedł pan Antoni Złotnicki, zaciskając zęby i targając co chwila swe sumiaste wąsy, a z nim poseł kałiski, pan Jan Suchorzewski, machając gwałtownie rękoma i krzycząc na cały głos, że trzeba co prędzej wnieść protest do grodów o gwałt dokonany dzisiaj na narodzie i jego wolności.

Długo słyhać było ich butne kroki, trzask wydawany przez ich karabele i krzykliwy, roznamietniony głos pana Suchorzewskiego, aż zagłębili się w Miodową ulicę, zmierzając może do Bułhakowa, który tam mieszkał.

Otarli się oni prawie o pana Bartłomieja, w przeciwnym idącego kierunku, ale on zapatrzony w to, co miał przed sobą, nie widział ich całkiem. Zaczęły też bić dzwony po mieście; jedna wieża kościelna po drugiej, jak gdyby podając sobie sygnały, przez otwarte okna poczęły wyrzucać ze siebie pełne, dźwięczne, spiżowe tony, dziwnie wesoło i uroczyście rozbrzmiewające.

Tymczasem tłum zaczął już od czoła wpływać w ulicę Święto-Jańską a kałubem rozdymać się coraz szerzej po zamkowym Placu. W tem kiedy pan Bartłomiej już posąg Zygmunta mijał, od Krakowskiego Przedmieścia nadciągnęła nowa masa ludu, niemniej niż zamkowy tłum gęsta i z silniejszym jeszcze postępująca naporem. I za chwilę oba te tłumy z dwóch stron spieszące, zetknęły się i zmieszwały ze sobą, jak dwie spływające się razem rzeki.

Pan Bartłomiej dostał się w środek tego wiru i już odtąd, czy chciał czy nie chciał, musiał iść tam, dokąd go ta fala ludzka za sobą niosła. Płynął więc razem z drugimi, może lepiej i wygodniej niż wielu, bo przenosząc głową innych, przy swej wielkiej sile kulakami i łokciami rozpierał się dosyć swobodnie w tłumie.

W ten sposób tłum zaniósł go ze sobą do kościoła św. Jana.

Kościół był już cały jarząco i rzęsiście oświecony, że noc równała się prawie dniowi. Na najwyższym stopniu wielkiego ołtarza stał król, dwóch biskupów w strojach pontyfikalnych i wiele innego duchowieństwa. Dalej zaś ministrowie, senatorowie i co przedniejsi z posłów i innych znakomitych osób, a po za nimi już tłum różnobarwny, różnolity, szlachta, mieszczenie, wojskowi i lud pospolity wszelakiego wieku i płci. Przez las sztandarów i chorągwi cechowych, ustawionych w pobliżu ołtarza i przez biały dym z kadzielnicy się dobywający, niby słońce przez chmury przeglądała wielka, szczerozłota monstrancja z Przenajświętszym Sakramentem.

Fatygą kilku ostatnich dni, burzami życia i troskami bolesnych przejść umęczona twarz królewska, jaśniała przecież jakimś błogim spokojem i majestatem; rzekłbyś, że ubyto mu lat, że odmłodził nadzieją lepszej przyszłości i miłością ludu, której tyle dzisiaj odbierał dowodów.

Ksiądz Gorzeński, biskup Smoleński, podniósł w górę świętą księgę ewangelii, król położył na niej rękę i pewnym, dobitnym głosem wśród otaczającej go, uroczystej ciszy, wykonał przysięgę na uchwaloną i przyjętą przez stany konstytucyję. A gdy już skończył słowa przysięgi,

zwrócił się nawpół do tłumu na kościele i donosnie, że na wszystkie strony słycać go było, dodał silnym, choć drżącym od wzruszenia głosem: *Juravi, et non poenitebit me!* (Przysięgam i nie pożałuję tego!).

Tylko świętość miejsca powstrzymała wstrząśnięte temi słowy królewskimi tłumy, że z całego gardła nie wydały okrzyku: Niech żyje król! ale spojrzenia wszystkich rozjaśnione radością poleciały ku niemu i wiele, wiele rąk podniosło się w górę, jakby dziękczynienie swoje złożyć mu chciały.

Wtedy marszałek sejmowy korouny, szlachetny, o poważnem obliczu, Stanisław Małachowski przystąpił bliżej do króla i krótką zaniósł do niego prośbę, aby za przykładem króla wszyscy obecni wykonać mogli w domu bożym przysięgę, że dochowają wierności konstytucyi, którą sobie naród, jako jedyne jeszcze *palladium* swej wolności i całości nadał.

Król skinął głową i rzekł: „Niech tak będzie!“

Tejże samej chwili Kazimierz Nestor Sapieha, marszałek sejmowy łaski litewskiej i generał artyleryi, odziedlił się z grona innych dygnitarzy, postąpił parę kroków i lekko wskoczył na stołek, w tem miejscu będący.

Błada, delikatna i smętna jego twarz powlokła się nagle rumieńcem, a oczy zapłonęły mu ogniem, jak gdyby tam w jego wnętrzu w tej chwili jakaś święta iskra się zatliła. I taka łuna ogarnęła jego piękne, młode jeszcze oblicze, że przy niej zagasnął nawet blask złotego ryngrafu, który miał na piersiach.

Wszystkich oczu, poczawszy od króla, utkwiły w nim, a on podniósłszy prawą rękę w górę, głosem, który szedł mu z samej głębi duszy, począł:

„Kiedy już król przysiągł, nam wszystkim teraz tylko iść za nim. Ktoby nie poszedł, na tym zacieżyłaby wina rozdzielenia narodu i zguby Ojczyzny. Niejedność, wewnętrzne rozterki i niezgoda wszystkich klęsk naszych były zawsze przyczyną. Nie mam w sobie tyle miłości własnej, ażebym mniemał, że moje przekonanie lepiej posłuży zbawieniu Ojczyzny, niż zdanie króla i tylu zacnych mężów. Za ich cnoty stojąc tarczą, choć nieraz inne objawiałem opinie, choć niektórym przepisom nowej ustawy przeciwny, przystępuję do przysięgi i na wierność konstytucji przysięgam!”

Zaledwie skończywszy to, zeskoczył ze stołka; wszyscy co bliżsi, rzucili się ku niemu i chwytając go za ręce, przyciskając do serca, ze łzami w oczach dziękowali za ten czyn patryotyczny, za piękny przykład, za złożenie na ołtarzu Ojczyzny największej ofiary, bo z własnych przekonań i pojęć.

Ale prędko ocknęli się z tego rozrzewnienia wdzięczności. Marszałek Małachowski pierwszy wznosił dwa palce do góry, za nim inni i w tej chwili na jeden raz, jakby jedna dusza wszystkich w kościele zebranych ożywała, rozległ się gromki, silny, potężny okrzyk:

„Przysięgamy!”

Piorun pod stopami twojami padający nie z groźniejszym hukiem się odzywa, nie silniej wstrząsa ziemię dokoła ciebie, jak rozległ się ten okrzyk z tysięcy piersi i uderzył pod sklepienie kościelne.

I po nim nagle tem większa w kościele zrobiła się cisza. Nikt do drugiego nie przemówił słowa, nikt się nie poruszył i wszyscy stali jak niemi i martwi; tak każdy przejęty był do głębi tem, co się tu działo, że

wszystkie duchy skupiły się w sobie w milczeniu, jakby owi święci wyznawcy, co objawienie Pańskie otrzymali.

Tę uroczystą ciszę przerwał głos biskupa krakowskiego przy ołtarzu. Ukłękął przed Najświętszym Sakramentem, okadził go kilkakroć trybularzem i zaintonował na podziękę Panu: *Te Deum laudamus*.

Cały kościół runął na kolana i pochyliły się sztandary i chorągwie przed ołtarzem, rozbrzmiały poważne tony organów i święta, poważna pieśń rozlała się od wielkiego ołtarza aż do progów świątyni i szła jeszcze dalej na ulice i place między tych, co się już dostać do kościoła nie mogli. Jak jeden głos szła z tysiącznych piersi, które podnosiła jedna nadzieja i jedno szczęście, że Ojczyzna tak pięknego dnia doczekała. / a

A tymczasem zagrzmiały armaty na Zamku i salwa po salwie wstrząsała powietrzem. Huk dział męszał się z potężnym: *Te Deum* w kościele, ale zagłuszyć go nie mógł i nie od wszystkich był słyszany, tak silnie śpiew tysięcy się rozlegał i tak wszyscy całą swą duszę wiali w dziękczynne swoje modły. l

Już pieśń się skończyła, a długo jeszcze nikt z kłerek się nie podnosił. Teraz każdy modlił się od siebie o dobro Ojczyzny. Ten ręce blagalnie wznosił do nieba; ten bił się w piersi, jakby kając się za długich lat grzechy publiczne; ten krzyżem padał na ziemię, dziękując Bogu za otuchę, która tego dnia w jego serce wstąpiła. Cichy szept modlitwy, tam westchnienie głębokie a gorące, ówdzie tłumione szlochy radości i rozrzewnienia unosiły się nad tym niezliczonym, różnolitym tłumem, jak szum przelatującego roju pszczoł ponad kwiecistą łąką.

Włowie

Aż wreszcie u wielkiego ołtarza zrobił się szmer głośniejszy. To ojcowie narodu duchowni i świeccy królowi i sobie nawzajem poczęli winszować szczęście dokonanego dzieła. Wtedy jeden i drugi z tłumu, a potem i całe szeregi ludzi, powstawali na nogi i kto kogo miał przy sobie najbliższego, podawali sobie ręce, rzucali się w objęcia i przyciskając do piersi całowali i ściskali się serdecznie. Szlachcic podawał dłoń mieszczaninowi, wielki pan brał chłopca za głowę i pocałunek braterski składał mu na czole, przyrzekając sobie wszyscy odtąd zgodę i jedność na wieki jak tego chce ta konstytucya, na którą co dopiero przysięgli.

A wśród tego działa zamkowe grzmiąły co chwila na wiwat temu dniu szczęśliwemu, dzwony kościelne rozrzucały swoje spiżowe dźwięki po mieście, a na ołtarzu złota monstrancya z Przenajświętszym Sakramentem poprzez dymy kadzidła przy jarzącym blasku świec spoglądała na wierny naród, jakby oko Opatrzności z poza obłoków niebieskich

Widział to wszystko pan Bartłomiej i patrzył na to najprzód ciekawy, potem zdumiony, a wreszcie jakby otumaniony i nawpół przytomny. To wszystko, co miał przed oczyma, tak mu się nadzwyczajne i dziwne wydawało, że nie chciał zrazu wierzyć, żeby to była prawda, a nie senne jakieś majaczenie. A potem znowu, kiedy rzeczywistość zniknęła niby przed jego okiem, zdawało mu się, że i w nim także coś, co było dawniej, znikać zaczyna, a nowe, nieznanne przedtem na to miejsce powstaje. Uczuł, jak gdyby serce jego, twarde i zimne jak lód, zaczynało topić się, tajać i kruszyć, jak stary budynek, rozsypujący w gruzy, a równocześnie dusza jego, jakby

10ie

brała w siebie inne jakieś moce|chęci, jakby z dawniej /i
przeradzała się i przeobrażała w inną, odmienną i nie-
podobną do tamtej.

Pan Bartłomiej uczuł w sobie dziwną, gryzącą do
szpiku kości boleść, jaką czuje może końający, gdy dusza
ma ciało, w którym od urodzenia mieszkała na wieki
porzucić. Ale w temże okamgnieniu rozlało mu się po
piersi jakieś niebywałe tam nigdy ciepło, z piersi wyr-
wało się lekkie, swobodne westchnienie, czoło rozjaśniło
jakimś błogim spokojem i po jego kościstym, szorstkim
policzku spłynęła wielka jak perła, gorąca łza. . .

Padł wtedy krzyżem na ziemię, wyszeptał z cichym
jękiem: O Jezu! — i leżał tak długo, zapomniawszy
gdzie jest, co się dokoła niego dzieje, z zamkniętymi
oczyma, nie modląc się słowy, ani myślą, ale czując, że
dusza jego podniesiona gdzieś w niebieskie sfery rozmawia z Panem.

Już dawno ruszyli się ludzie, kościół coraz bardziej
się wypróżniał, wypróżnił się już prawie, a pan Bartło-
miej jeszcze trwał w tym stanie. Nareszcie ocknął się,
powstał . . . zbudziła go cisza.

Ze zwieszoną głową, powolnym krokiem, ale z tak
lekkim sercem, jakiego nigdy nie czuł w życiu, opuścił
progi świątyni, gdy już służba kościelna ostatnie dogaszała światła i gdy ciemność i milczenie zagarniały pod
swą władzę tę przestrzeń, niedawno tak pełną blasku,
świetności i wstrząsających mury okrzyków . . .

Twardo i spokojnie, jak dziecko, spał tej nocy pan
Bartłomiej. Nazajutrz nie poszedł do pana Złotnickiego,
jak to miał w planie (czuł on do niego|jakaś odrazę), /tetu
ale od razu do sądu — i tam oświadczył, że od procesu

z bratankiem z własnej woli odstepuje. W kwaterze swojej napisał potem list do patrona, który sprawę bratanka prowadził, że w tym czasie, gdzie i dawne wrogi ręce sobie podają, on się dalej pieniać nie myśli i wieś, którą dotąd po bracie nieboszczyku trzymał, z całym martwym i żywym inwentarzem synowi jego z dniem dzisiejszym w posiadanie oddaje.

Rok cały upłynął. I znowu w nieszczęśliwej Polsce wiele nowych rzeczy i odmian się stało. Hydra Targowicy podniosła jadowitą głowę i sprzymierzyła się z obcym najazdem. Pan Bartłomiej zjawił się wtedy znowu w Warszawie, przywiózł ze sobą sto tysięcy złotych w dukatach i talarach i złożył je na ręce pana Kościuszki na stukonną chorągiew, to jedynie wyrażając życzenie, że pragnąłby, aby namiestnikiem w tej chorągwi mógł być jego zięć, od sześciu miesięcy mąż jego jedynaczki.



F
5415